

Nowe Przygody Tomka Wilmowskiego.

Alfred Szklarski nie poprzestał na napisaniu trzech tomów powieści o przygodach Tomka Wilmowskiego. Napisał ich aż osiem. Ponieważ opowiadania te cieszyły się niezwykle popularnością, dziewiąty tom powieści, dokończył i wydał zaprzyjaźniony ksiądz Adam Zelga już po śmierci autora. Z kolei dziesiąty ostatni tom, na podstawie pozostawionych przez Alfreda Szklarskiego notatek został napisany i wydany w roku 2021 przez Macieja Dudziaka.

Ale ta niezwykła historia na tym się nie kończy. Otóż nie tak dawno temu wnuk osławionego Tomasza Wilmowskiego, przekazał mi znalezione i zapomniane już od dawna pamiętniki swojego dziadka. Po zapoznaniu stwierdziłem, że może nie jest to jedenasty tom powieści, ale przynajmniej opowiadanie pt. "Tomek na Jurze" które chciałem Państwu przybliżyć.

A wszystko zaczyna się od zwyczajnego jak w każdym opowiadaniu dla dzieci, że "Był sobie..."

No bo rzeczywiście był sobie pewien chłopiec, który co pewien czas przenosił się do innego (teraz można by określić, że wirtualnego) świata, przemieniając się w zwykłego pastuszka. Nie obce mu było przebywanie na łąkach, w ciemnych ostępach starszego lasu, jak również w rozświetlonych białą korą brzoź, leśnych polanach, albo też w pełnym i trochę tajemniczym uroku choinkowych młodników. W pozostałym, poza wirtualnym życiu lubił pozostawać w bezpośredniej bliskości z naturą. Nawet drogę do szkoły, poczynając od wczesnej wiosny, aż do późnej jesieni, pokonywał z ogromną satysfakcją leśnymi ścieżkami. Mijając stawy porośnięte moczarką, precudownymi wodnymi liliami, i jakby wziętym wprost z artystycznego pejzażu, pachnącym tatarakiem, nadbrzeżnym sitowiem, pałą Rogoża i oczywiście, zwłaszcza w takim miejscu żółtymi kaczeńcami. Zupełnie zwyczajnym już widokiem było jakby już tam na stałe zamieszkałe stadko dzikich kaczatek, podążających jakby powiązanych niewidzialnym sznureczkiem, za płynącą przodem kaczką mamą i pięknie ubarwionym, lśniącym kaczym tata obok. Czasami, nie wiadomo skąd ani na ja długo, pojawiała się para

dostojnych, białych jak śnieg, długo szyjnych i jakby zawsze zakochanych w sobie łabędzi. Taki właśnie widok przypominał zawsze w swoim dostojęństwie, że ludzie powinni brać przykład i raczej nie z lekkości utrzymywania się na wodzie. Zanikające już popołudniowe różnobarwne trele dochodzące z pobliskich iglasto - liściastych zagajników i ucichających już ze zmęczenia, najróżniejszych ptaków i owadów, zastępowane bywało przez niesamowitą muzykę pikującego z góry na dół bekasa, lub derkania zaszytego gdzieś w chaszczach i skutecznie ukrywającego się derkacza. A wszystko to współgrające z niesamowitymi akordami setek rozrehotanych żab. Tylko narastający szum przelewającej się wody uspokajał sennie kiedy przepust oświetlało światło księżycy w pełni. Zupełnie inaczej od migających, zielonkawych światełek, baraszkujących gdzieś nad wodą, prawie że poetyckich Robaczków Świętojańskich. Niesamowitego uroku dodawały ogromniaste pnie wiekowych wierzb, których zadziwiająco długie, zwisające prawie do ziemi witki najwcześniej się zazieleniały, będąc dowodem na nieodwołalnie nadchodzącą wiosnę. Stare, częściowo zmurszałe już konary, stawały się prawdziwymi osiedlami dla ptaków w pozostawionych przez dzięcioły dziuplach. Czasem, wysoko, z nieruchomo rozpostartymi skrzydłami pojawiał się jastrząb, wypatrujący czegoś na dole nadającego się na żer dla siebie i swoich młodych. Rozchodzące się w coraz większe okręgi fale stawu, spowodowane nurkującą kaczka, lub pluskiem połyskującego złotą łuską karpia, były dowodem obecności ożywionej natury tego nieco odludnego zakątka. W zupełnej bliskości, pod nieprzepuszczającą światła słonecznego pergolą z kipiących zielenią liści wybijały olszyn, wiła się rzeczka. Niekiedy tworząca szersze rozlewiska, w których wydawała się nie płynąć. Tylko wpadający liść ukazywał przemieszczanie się nurtu. Białawo - żółtawy piasek na dnie podkreślał nieskazitelną czystość wody. Przy większych opadach lub za szybko topniejących śniegach, woda wzbierała czasem nawet ponad kładkę składającą się z dwóch lub trzech przerzuconych w poprzek bali i poręczy. Dalej na północ wydeptana leśna ścieżka prowadziła przez sosnowy zagajnik pachnący żywicą i wiosennymi czubkami rocznych przyrostów. To kwiatostan iglaków nadający się na domowe syropy "Pini". Czasem gdzieś czmychnął szarak, czasem zadarła się wrona albo że zdziwieniem spoglądały z pobliskiej polany sarenki. Niekiedy głośnym tokowaniem

swoje terytorium ogłaszał wszem i wobec najdzielniejszy z leśnych kuraków - głuszec. To niewielki zagajnik więc trudno o większą zwierzynę ale czasem zagroził naszemu Tomkowi na ścieżce zabłąkany i rozpędzony łoś z ogromniastymi łopatami. To prawie jak afrykańskie safari. Ziemia dudniła i łamały się z trzaskiem gałęzie. Ten okazały zwierzak przestraszony nie wiadomo czym, rozpędzał się do galopu i jak w amoku mógł stratować wszystko na swojej drodze. Nasz Tomek ledwo uszedł cało, kiedy zwierzak przemknął zaraz obok chyba go nie zauważając.

Kolorowych dźwięków

Po wyjściu z zagajnika przeważnie robiło się widniej bo nieba nie zasłaniały już gałęzie drzew i ukazywała się bezkresna przestrzeń suchych jak pieprz i kolorowych od kwiatów jak tancerki baletu - łąk. To zupełnie jak milionowe miasto. Niezmierzona płatanina poruszających się we wszystkich możliwych kierunkach stworzeń, niemożliwa do rozpoznania i przyrównania do nich odpowiednich dźwięków. Wystarczy stanąć i przykucnąć bo wtedy lepiej widać ten trochę mniejszy lecz zadziwiający świat. Ileż jest rodzajów samych tylko koników polnych pod względem wielkości i ubarwienia. Od zupełnie malutkich, chociaż bardzo hałaśliwych cykad, po wielkie, prawie jak wędrowna szarańcza, zielone pasikoniki z furkoczącymi dwiema parami skrzydeł. Widząc człowieka odlatują tylko na metr lub dwa, dając tym samym znać, że łąka to ich terytorium. Trudno pojąć jak ogromną robotę wykonują niektórzy naukowcy, aby poznać skomplikowane życie owadów. Zwykły człowiek może tylko popatrzeć i tylko trochę się zdziwić. To wszystko żyje, ma przed sobą pewne cele i obowiązki związane z wyżywieniem, podtrzymaniem gatunku, zbudowaniem lub znalezieniem bezpiecznego lokum, oraz co najważniejsze, żeby przeżyć będąc tak małym, w tak ogromnym świecie.

Zielony świat

Gdzież może pchać tą swoją wielką, okrągłą kulę błyszczący na niebiesko "Żuk Gnojak", ale najpierw jak ją zrobił?. Kto nauczył pająka "Krzyżaka" robić sieć w formie idealnego wielokąta foremego, a człowiek uczy się tego dopiero w szkole, niejednokrotnie mając trudności w zrozumieniu. Albo mrówki, dokąd chodzą duże, czerwone mrówki tam i z powrotem, że potrafiły wydeptać sobie całkiem wyraźną dróżkę?. Jakim kalendarzem posługują się "Czajki",

że pojawiają się nad łąkami jako pierwsze zwiastuny wiosny. A wszystkie inne małe robaczki, które dokądś się spieszą, zapewne wiedzą gdzie, a człowiek nic o nich nie wie, mimo że rozumny. Tętniąca życiem, zielona od traw i kolorowa od kwiatów zwykła ale pachnąca nektarem Sucha Łąka. Nazywana tak od zawsze gdyż nawet burza nie zostawiała tam błota ani kałuż. Opadająca powoli w niewielką dolinkę o zboczach z rzadka porośniętych karłowatymi, przycupniętymi do ziemi sosenkami. W wyrzeźbionym nieco głębszym rowku, wśród stokrotek, trochę wyższych jaskrów i precudownych fioletowych dzwoneczków, płynął wąskim ale wartkim nurtem – strumyk.

Zdarzało się nieraz Tomkowi zmieniać przyzwyczajenia co do ulubionych ścieżek i w poszukiwaniu nowych doznań zaplatać się w gęstwinie leśnych duktów. Już na początku, tuż za kładką, na najbliższych krzyżowych drogach, pierwsza, tak samo leśna ścieżka skręcała w lewo. Początkowo wśród pól obsianych żytem lub obsadzonych kartoflami, przechodziła w dość szeroki, widny trakt. Bywało, że po plecach przeszedł dreszcz, gdy dosłownie spod nóg, z trzepotem skrzydeł odfruwiała jeszcze bardziej przestraszona kuropatwa albo przepiórka, gdyż nawet wprawny ornitolog nie mógłby odróżnić je w takiej sytuacji. Tylko kogut bażanta nie mógł być pomyłony z żadnym innym kurakiem ze względu na kolory i tylko sobie przynależną grację w poruszaniu się wśród wyższych traw. Leśny trakt i otaczające go wysokie i wysmukłe sosny z szumiącymi pióropuszcami gałęzi tylko w swoich górnych partiach i korą im wyżej, tym gładszą, jaśniejszą i lśniącą, nasycaly powietrze leśnym zapachem. Wysoki las nie jest zbyt głośny, ale z pewnością nie jest cichy. Jest po prostu żywy, poruszający się, pachnący oraz nad podziw kolorowy. Tylko z grubsza określając, mówi się, że las jest zielony, ale nawet odcieniami zieleni można się zachwycać bo są tak różne, że nie starcza słów żeby je ponazywać. W zależności nawet od pory roku, te same rośliny zmieniają intensywność swojej zieleni, w którą idealnie wkomponowują się inne, czasem kontrastowe kolory. Choćby tylko wspomnieć o wiosennych, puszystych, białych lub żółtawych kotkach, zwanych również kocankami pojawiającymi się jeszcze przed listowiem wierzby "Iwy". O przydrożnych, wysokich na metr fioletowo - niebieskawych, albo z lekka różowawych leśnych

lubinów latem. Jesień przynosi już całą galerię obrazów, gdzie każdy jeden kadr nadaje się na powiększenie i oprawienie w ramkę. Bo cóż piękniejszego może być od widocznych z daleka, czerwonych, kulkowatych gron na tle zielonych jeszcze liści jarzębiny.

Przy nieco silniejszym powiewie powietrza bujające się gałęzie tracą swoje długie, podwójne igły, które ścielą się na ziemi gdzie popadnie. Resztki szyszek z wyjedzonymi przez ptaki lub wiewiórki nasionami tkwią bezradnie w poszyciu leśnym obok białych, malutkich dzwoneczków kwitnących borówek lub jagody czarnej.

Szeroki, widny trakt wydaje się być zupełnie przyjemny i bezpieczny, bo oznaczony szlakiem turystycznym. Z pewnością przechodzą tędy turyści lub grzybiarze, bo ktoś coś zgubił. To kolorowa bransoletka lub ładny pasek od spódniczki, po który już miał sięgnąć Tomek. Przydała się bystrość umysłu i wysportowane ciało Tomka. Błyskawicznie odskoczył w bok gdy pasek się poruszył. To jadowita żmija zygzakowata, wygrzewająca się w słońcu na środku ścieżki. Mogło być niebezpiecznie.

Niebawem droga się zawęża i nieco zatracą wśród niewielkich krzaków i chaszczy ale zaraz pojawia się okazała brzoza z rozdwojonym nad ziemią pniem i oznaczeniem szlaku.

Zawieszona na niej mała kapliczka nawołuje przechodnia do zatrzymania się, zadumy i refleksji jak nikłe znaczenie ma człowiek w porównaniu z wielkością sił natury. Dziwne że prawie w środku lasu ktoś zatknął świeże kwiaty.

Niedaleko wzgórek gruzu porośnięty trawą i badyłami, pozostawiony po istniejącym tu kiedyś budynku i zdziczałe owocowe drzewko jabłunki. Zamieszkały tam jedynie, bajecznie kolorowy i pohukujący dudek ze swoim wspaniałym czubkiem irokeza, pozostał nadal wierny temu miejscu. Dalej to ta sama ścieżka prowadząca przez muldy pozostałe po dawnych zagonach pól uprawnych. Cały teren nieznacznie ale systematycznie obniża się w stronę następnej rzeczki co czyni go lekko podmokłym. Tylko na południe od ścieżki teren nieco się wznosi a poszycie leśne zmienia swoją barwę. Bardziej

odświetlone miejsca stają się liliowato - fioletowym kobiercem kwitnących krzewinek wrzosu. Nawet najbardziej zadbane parki nie mogą się równać z takim miejscem.

Niespodziewanie leśna droga zmienia się w prawdziwe pobożowisko. Słychać popiskiwanie, coraz głośniejsze chrobotanie i pochrząkiwania. To buchtowanie dzików.

Wielką locha z napuszoną szczeciniastą sierścią na grzbiecie, kilkunastocentymetrowymi "szablami" na długim mocnym ryju, którym jak lemiesz pługa, rozwała wszystko dookoła wywracając ziemię do "góry nogami". Obok całe stadko młodych, pasiastych warchlaczków baraszkuje beztrudnie wokół matki. Nasz Tomuś, aż zamarł ze strachu. W pobliżu nie było żadnego drzewa z nisko rozłożonymi gałęziami po których można by było się wspinać. Dobrze że chociaż wiatr był z przeciwnego kierunku i locha nie wyczuła obecności człowieka. W obronie młodych jest zdolna zaatakować i rozszarpać wszystko co stwarza jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Czasami przydaje się zwykłe szczęście bo nawet największa odwaga na nic się nie zdaje.

Mijając jeszcze parę wzgórek porośniętych mchem i chaszczami obok modrzewi i wybujałych paproci, nasz odważny Tomek znalazł się na grobli z kilkoma dorodnymi jałowcami a w oddali rysowała się już trochę inna zielenie. Las zmieniał swoje oblicze, które wyrażało się w brzożach, dąbkach i leszczynach. Nawet w czasie upałów ciągnął delikatny chłód od w większości liściastego drzewostanu i rzeczki. Młodsze drzewka zadziwiająco szybko pięły się w górę do światła słonecznego zasłanianego przez wyższy drzewostan. Najróżniejsze odcienie zieleni przyozdabiane na czerwono i różowo kwitnącymi krzewami dzikiej róży, a mroczniejsze miejsca z krzakami rozświetlała nieco biała kora brzożek. Mały drewniany mostek przerzucony przez główny nurt, pod którym, a nawet i trochę dalej były całe połacie rozkwitniętych żółtych kaczeńców i precudownych niebieskich niezapominajek. W pobliżu na mocniej nasłonecznionej polance byczyła jak w pasiece leśnych, pszczelich barci. Najgłośniejsze były ogromne jakby trochę napuszone trzmiele i nie dające się wcale przekrzyknąć wielkie zielone pasikoniki. Niezliczone ilości owadów

pożywiających się na kolorowym dywanie wspaniałych polnych i leśnych kwiatów. Od niepozornej, płożącej się po ziemi jak fioletowa makatka, macierzanki przypominającej swoim zapachem tymianek, poprzez lecznicze zioło dziurawca, aż do wysokich na dwa metry dostojnych chociaż kłujących ostów. Na łagodnym, dochodzącym aż do mostka, stoku grobelki już podczas wczesnej wiosny zakwitwały fioletowo przylaszczki, na biało zawilce a żółto mniszek.

Po przeciwnej stronie mostka, za białymi ogromnymi baldachami "Barszczu Sosnowskiego" ugiwały się pod ciężarem dorodnych owoców delikatne gałązki malin. To w nich ujrzał bohaterski Tomek, uwikłaną i daremnie próbującą się uwolnić dwunastoletnią dziewczynkę. Jak przystało nie na byle kogo, postanowił natychmiast ruszyć z pomocą. Tylko ten trujący "Barszcz" uniemożliwiał przedostanie się do malin i dziewczynki. Ostrożnie, ale z całym rozmachem i zapamiętałe ciało maczetą zdrewniałe, mocne łodygi "Barszczu" i coraz bardziej zbliżał się do ostrych kolców, które czepiały się ubranka i raniły ciało dziewczynki. To była Sally Allen - Australijka, która przyjechała do znajomych w Polsce i przypadkiem wybrała się na maliny.

Dalsza historia nie jest już opisywana w pamiętniku. Na końcu znalazłem tylko wzmiankę, że potem Sally Allen została żoną Tomka Wilmowskiego.

Natomiast ich wnuczek po latach wyznał ze wzruszeniem: - "Mój dziadek gdziekolwiek bywał, opisywał przygody i miejsca. O tej ostatniej przygodzie wiem tylko tyle, że zdarzyła się gdzieś w Polsce. Bardzo chciałabym wiedzieć gdzie?".

A może ktoś z moich drogich czytelników odgadnie?

Podpowiem tylko z grubsza – na Jurze.